

LIDIA Eberle - Lwow

nagrat: Wiesław Krasnodębski - 1985 r.

Urodziłam się nad Wołgą, do Polski przyjechałam z rodzicami w 21 roku w kwietniu - miałam wtedy pół roku. Mieszkaliśmy w Nowogrodku, gdzie chodziłam do szkoły, do 36 roku, następnie ojciec zmienił pracę, mieszkaliśmy nad Naroczą, gimnazjum skończyłam w Święcianach w 38 roku. W 38/39 roku byłam na prawie w Wilnie, do początku wojny. W czasie okupacji pracowałam jako nauczycielka - to byłby w skrócie mój życiorys.

Do konspiracji nie należałam. Dostałam się do oddziału w sierpniu 43 r. Do tego czasu pracowałam tylko jako nauczycielka w wiejskiej szkole. Prowadziłam wszystkie przedmioty. Ludność była białorusko-polska, ale mówili przeważnie po białorusku. Były takie wsie, zaścianki - polskie - Bryle, Leszczyńskie, w naszej okolicy. Ale ludność czując się Polakami, mówiła po białorusku. Byli katolikami. Tam były takie stosunki, że prawosławni czuli się raczej Białorusinami, a kto był katolikiem - czuł się Polakiem. Czyli wyznanie było rozgraniczeniem narodowościowym.

Po 39 roku zorientowałam się, że wielu Białorusinów łgnęło do Sowietów. Były takie wsie - zwłaszcza na jeziorze Narocz. I ze względu na ten podział - na naszych terenach była partyzantka polska i partyzantka radziecka, dosyć silna. Wsie położone bliżej granicy polsko-radzieckiej były bardziej skomunizowane. Ale nasze bazy, bo były dwie, A i B, były położone w pobliżu baz partyzantki radzieckiej - w tych samych lasach, nad tymi samymi jeziorami. Początkowo - podobno - bo mnie jeszcze w partyzantce nie było - była wzajemna współpraca.

Od czasu mojego przybycia na bazę do momentu, kiedy zostaliśmy rozbrojeni minęły ok. 3 tygodnie. Rozbrojenie miało miejsce na bazie Kmicica.

Podobno Kmicic zaczął organizować oddział już w roku - może się pomylić w tym wypadku - podobno już w 42. To było na obszarze: Postawy, Swię, Miadzioł, Kobylnik, Wiszniewo, mniej więcej

w tych okolicach. Ale baza została założona dopiero w 43 roku w maju. W lasach nad jez. Narocz i jez. Blado.

- A przed założeniem bazy kwaterowano w poszczególnych wioskach

Musiał mieć swoje określone miejsce, gdzie przebywał ze swoimi ludźmi ale dokładnie tego nie wiem. Było wiadomo, że Swir był jego ostoją, tam najczęściej się spotykał, stamtąd robiono wypad, bo były już organizowane jakieś akcje na posterunku białoruskiej policji współpracującej z Niemcami. Więc były Duniłowicze, Żodziszki - to to, co pamiętam, co mi opowiadano. Ludzie z tej policji białoruskiej byli w większości zakonspirowani i po rozbrojeniu posterunku przechodzili na bazy do Knici ca.

Baza była w lesie na pagórku, z szałasami i ziemiankami. Knicie początkowo nie mieszkał na tej bazie tylko przebywał w gajówce. A potem, już w czasie mojej bytności, mieszkał w namiocie. Na bazie był pobudowany szałas, gdzie się mieściło biuro - kancelaria. Z tej bazy były organizowane wypad na posterunki przy pomocy konspiratorów, którzy się znajdowali w terenie. Z bazy wychodziły też patrole, które, m.in. poza akcjami wojakowymi miały na względzie zaopatrzenie bazy w żywność. W tym czasie, kiedy przebywałam na bazie ilość żołnierzy wzrastała po prostu w oczach - z 200 zrobiło się 300 dosłownie w ciągu 2 tygodni. Liczebność oddziału rosła wręcz lawinowo i to może właśnie przeraziło komendę partyzantki radzieckiej. Ta wzrastająca siła, oni się przecież orientowali, była przecież współpraca: nasi jeździli do nich, oni przyjeżdżali do nas, były nawet podobno jakieś wspólne akcje.

Zwykły dzień na bazie - nie jestem zorientowana w organizacji wojskowej. Jeśli chodzi o kobiety, które były na bazie to one pełniły rolę sanitariuszek i jednocześnie zajmowały się kuchnią. W mojej obecności, przed rozbrojeniem, żadna z kobiet

nie brała udziału w akcji, mimo, że była duża akcja na garnizon ^{Zedzisław} ~~Przebiezka~~. Białorusko-niemiecki. Przypominam sobie święto wojskowe, które się odbyło 22 sierpnia. Ono było przełożone z 15 VIII, z powodu tej akcji, w której brał udział mjr Sulima. Było płomienne jego przemówienie, było zaprzysiężenie, był sztandar na maszcie. To było święto bardzo radosne. I w kilka dni potem zostaliśmy rozbrojeni.

Pamiętam, że zostaliśmy odczeleni, ok. 1 - 2 po południu, gdzie się człowiek nie obrócił - widział partyzanta radzieckiego z bronią.

- A nie było czujek?

Były czujki, była ochrona, ja nie wiem, w jaki sposób była zorganizowana, czaty były wysunięte, ale nikt się tego nie spodziewał.

Kazali się nam zebrać przed tym szalaseń, kancelarią, bo tam była największa przestrzeń, i wtedy przemówił Markow. To był ich dowódca, był Białorusinem, nauczycielem, komunistą już przed wojną. Nikt nie zapamiętał jego przemówienia dokładnie, tak wszyscy byli zszokowani. Wydaje mi się, że powiedział, że nikomu włos z głowy nie spadnie i wszystko będzie jak dawniej. Niemniej musimy przejść do bazy zimowej B, która znajdowała się bliżej pozycji radzieckich. Tego dnia dowództwo nasze, tzn Kniżec w towarzystwie 3 osób wyjechał na bazę radziecką dla przeprowadzenia rozmów. O co chodziło, naturalnie nie wiem. Chciała bym tylko dodać, że przydzielono mnie do obsługi komendanta wtedy, kiedy przebywał na bazie. Miałam mu zanosić jedzenie - wszystkie posiłki. I tego dnia właśnie, przed wyjazdem, kiedy zanieśli mu śniadanie - powiedział, że to jest bardzo ciężki i trudny dzień i że się czuje bardzo samotny. Tak to zapamiętałam. I potem nastąpiło rozbrojenie. Potem bez broni kazano

nam iść w stronę naszej bazy B. Po przeprowadzeniu na bazę byliśmy otoczeni b. gęstym kordonem i chyba od razu zaczęli nas przesłuchiwać: wywoływali nazwiskami i dzielili nas na grupy.

- Czyli oni mieli was już wstępnie rozpracowanych?

Naturalnie tak, tak wynikało.

Tak przesiedzieliśmy całą noc, następnego dnia tę wydzieloną grupę chłopaków zabrali i chyba następnego dnia przyjechał Markow z nowym dowództwem. Przedstawił nam nowego komendanta - Zapora - nazwisko Mroczkowski i jeszcze oficera, który przyjechał z żoną, też jako porucznik był przedstawiony, nie przypominam sobie jego nazwiska.

- On narzucił wam nowe dowództwo? Nie bardzo rozumiem.

Tak. Powiedział, że przechodzimy pod dowództwo radzieckie, jesteśmy partyzantką Wandy Wasilewskiej. A nasz oddział będzie nosił imię Bartosza Głowackiego. To był 43 rok. Bo przedtem, knieć zwoływał jakdorazowo ludzi na akcje. A w maju 44 43 został zorganizowany oddział leśny i właśnie pierwsza baza nad jeziorem Narocz.

- A kim byli ci oficerowie przyniesieni w teczce?

Zapora, tak, jak dowiedzieliśmy się potem, był ogniomistrzem Wojska Polskiego i był zapartytywań lewicowych już przed wojną. I zaczęło się niby normalne życie. Takie, jakie prowadziliśmy na terenie bazy A. Były planowane już wspólne akcje z partyzantką radziecką, broń została nam zwrócona, chłopcy przez nich wzięci nie wrócili /podobno zostali rozstrzelani/.

Ja też zostałam zabrana na bazę radziecką i siedziałam w bunkrze razem z naszym porucznikiem, pseudo: Ostróg i drugim /Kruk albo Jastrząb/. Nie pamiętam, nie znałam dobrze tych ludzi, byłam zbyt krótko a oni też nie przebywali przez cały czas na bazie. W tym czasie siedzieliśmy w tym bunkrze - ziemiance z obstawą: 1 rkmista i 2 żołnierzy przy niej, w międzyczasie

zabrany został na przesłuchanie Kruk/Jastrząb i nie wrócił do nas, potem Ostróg, zostałam sama jedna.

- Czy tamtych rozstrzelano?

Ostróg żył. Nie wrócił do nas, ale słyszałam, że był w Wilnie potem. A ten drugi - słuch po nim zaginął.

Mnie wzięto po nich, zabrano na drugą bazę. W każdym razie długo szłam pod konwojem - do oficera radzieckiego, którego nazywano dziadzia Wania. Tam byłam przesłuchiwana, pytano mnie o rodzinę, pochodzenie, co robiłam, czym się zajmowałam. I była propozycja, żebym została z nimi, ponieważ jestem z pochodzenia Rosjanką. Ponieważ odmówiłam, nie wróciłam do dawnej ziemianki, zaprowadzono mnie do innej, a to było dosłownie parę kroków od miejsca, gdzie mnie przesłuchiowano.

Kmicic nie był sam, był z nim młody człowiek, który mówił z białoruska po polsku. Też to było obstawione naturalnie, drzwi były otwarte, chociaż czasem i zamykane, było małe okienko wychodzące na drogę, którą przejeżdżały furmanki, przechodzili partyzanci.

Myśmy nie rozmawiali z Kmicicem, a ten młody człowiek od czasu do czasu zrywał się, wrzeszczał, krzyczał, wpadał w taką jakby furję, wykrzykiwał, że jest niewinny, po co go tu trzymają, za co, i tak trwało przez dzień i noc do następnego dnia. Te napady się powtarzały, Kmicic próbował go uspokajać, cich na zewnątrz nie reagowali. Następnego dnia po śniadaniu przynieśli nam słomę, poduszki, w pewnym momencie ten młody człowiek się zerwał z wrzaskiem, rzucił się do drzwi i posypały się strzały - strzelanina była tak gęsta, że z dachu tej ziemianki zaczęło się sypać, Kmicic pchnął mnie na słomę i sam też upadł. Ranili tego chłopca - bo usłyszałam wrzask po białorusku - za co mnieście zabili - musieli go schwytać bo głos

się oddalał, kiedy to wszystko ucichło, zostaliśmy sami. Wtedy Kmicic zaczął ze mną rozmawiać. Powiedział, że przypuszcza, że ten młody człowiek był podstawiony - albo po to, żeby go znienacka zabić albo słuchać - prowokator. Wtedy mi powiedział, że mają go jeszcze wezwać na rozmowy - nie opowiadał mi dokładnie o czym - i przypuszcza, że jeśli nie dojdzie do skutku tu na bazie to go zabiorą do Moskwy. I rzeczywiście - jeszcze chyba dwukrotnie przyniesiono mu lekarstwo - jakie, nie wiem - i gdzieś tak przed zachód słońca przyszli po niego i on już nie wrócił. Ja zostałam sama, zdjęli czujki wokół ziemianki, został tylko 1 żołnierz, który był w środku razem ze mną. O nic mnie już nie pytali, nikt do mnie nie przychodził, następnego dnia przyszedł jakiś mężczyzna, też partyzant, i powiedział, że jestem wolna i mogę wracać do swoich.

Ja siadłam przed tą ziemianką, bo się w ogóle nie orientowałam, gdzie nasze bazy, i podeszła do mnie starsza kobieta, Białorusinka, i mówi, ty jesteś głodna, ja ci przyniosę jeść i przyniosła, chociaż dziękowałam. Powiedziała mi, że została zabrana z mężem z jakiejś wsi i mąż został rozstrzelany a ona pracuje w kuchni. Wtedy ją zapytałam, czy nie wie, co się stało z tym człowiekiem, z którym ja razem byłam w ziemiance. Określiłam go - bo Kmicic, jak wychodził, miał płaszcz wojskowy narzucony na ramiona, był wyoki, szczupły. I ona powiedziała, że jego prowadzili w kierunku bazy litewskiej, gdzie zwykle rozstrzeliwano. I to była ostatnia o nim wiadomość.

I wtedy, kiedy siedziałam z tą kobietą zobaczyłam, że przy prowadzili ранnego. Na terenie bazy radzieckiej był szpital. Przywieźli go - i wracali. I ja razem z nimi wróciłam na bazę. Jeszcze tam byłam parę dni, w tym czasie jeszcze chyba była akcja na Miazioł wspólna, naszych partyzantów z partyzantką

radziecką, naszych chyba 2 zginęło.

Muszę jeszcze dodać, że wysyłano często patrole, głównie żywnościowe: żaden z tych patroli już nie wracał. Wobec tego liczba naszych żołnierzy malała.

Kilka dni po moim przybyciu przyszedł do mnie kolega i zawiadomił mnie, że oni wychodzą plutonem którego dowódcą był Kitek i na bazę już nie wrócą. Zaproponowano mi pójście z nimi, na co się natychmiast zgodziłam. Poszłam do Zapory /bo mieli iść razem z nim/ i poprosiłam, żeby mnie wzięli ze sobą. Zapora pozwolił. Wyszłam z nimi. 40 osób.

- Rzekomo na jakąś akcję?

Nie. Na spotkanie z Łupaszka. W tej chwili nie przypominam kiedy się dowiedziałam o tym że Łupaszko miał dojechać na tę bazę i nie dojechał. W każdym razie wiedziałam, że my mamy wyjść i już nie wrócić.

Szliśmy do nowego komendanta.

Nie przypominam, ile dni szliśmy na spotkanie z nowym oddziałem. Jeszcze przed tym spotkaniem dowódca plutonu - ~~KIKIK~~ Kitek - przeprowadził ze mną rozmowę. Powiedział, że nie mają do mnie zaufania z powodu tego, że jestem Rosjanką i że byłam na bazie radzieckiej. Niemniej moja postawa będzie o mnie świadczyła.

Spotkanie z Łupaszka dokładnie wryło mi się w pamięć. Te dwa oddziały - nieduże - nas było 40 cioro, Łupaszko był w asyście chyba mniejszej - staliśmy naprzeciw siebie, Zapora podszedł do Łupaszki, porozmawiali, chyba wszyscy wtedy się opowiedzieli za tym, żeby zostać z Łupaszka. Ja tak to pamiętam.

Jeśli chodzi o mnie właśnie - o mnie, bo nie wiem, jak to było z innymi - Łupaszko mnie /może tego dnia, może następnego/ zaprosił na rozmowę i powiedział, że w zasadzie życie partyzanckie nie jest dla kobiet, jest za trudne, za ciężkie, że

powinnam wrócić do domu. Na co ja powiedziałam, że do domu nie wrócę, bo gdybym wróciła, to na pewno matka i brat, którzy zostali, mogliby być aresztowani i rozstrzelani przez Niemców i ja tak samo - przecież to były takie czasy. Wobec tego zostałam, pozwolili mi zostać. I byłam pierwszą sanitariuszką. Potem doszła Kitka, Aldona z Maksem, to grono sanitariuszek się powiększało. Ale ja byłam pierwsza. Myszka też przyszła później - w listopadzie lub w grudniu 43 roku z Wilna. A pierwsza akcja, w której brałam udział - to myśmy maszerowali w nocy, niedaleko wsi Koreniaty natknęliśmy się na patrol litewski. Wywiązała się krótka strzelanina, na szczęście bez strat, to był mój chrzest bojowy, w nocy, wieś zaczęła się naturalnie palić. Możliwe zresztą, że ten patrol to była policja litewska.

Potem była koncentracja. Wtedy zobaczyłam oddział Łupaszki w całości - też nas nie było tak wielu - ok. 150 osób, ale już był zrobiony podział na plutony. I początkowo przydzielił mnie Łupaszko do Maksa. Ale ja się czułam obco, bo Maks miał swoich ludzi, nie z bazy. Ja ich nie znałam i wobec tego poprosiłam Łupaszkę, żeby mnie zostawił z tymi, z którymi przyszłam z bazy. A to był pluton, z którym chodził Łupaszko. I ja z nimi zostałam. I w ten sposób zostałam z Łupaszką. I potem przez cały czas byłam przy sztabie. Sztabie kawalerii. Byłam siostrą kawalerii. I brałam udział we wszystkich ich akcjach. Konia nie miałam, bo to była spieszona kawaleria, chociaż w 44 było 150 koni już. Ale sanitariuszki chodziły pieszo i nigdy nie było wolno nam siąść na podwozy, na wozy, którymi wożono jedzenie czy amunicję czy broń - nie pozwalał nam. Kazał nam zawsze ze swoimi chłopakami chodzić. Chyba, że ktoś był rzeczywiście chory.

Nasze życie codzienne - nas, sanitariuszek - byłyśmy zawsze

z plutonem, robiliśmy opatrunki, pielęnowaliśmy chorych, rannych. Lekarstwa były dostarczane z Wilna. Od czasu do czasu Łupaszo robił z nami zebrania, na których zgłaszałyśmy potrzeby, mówiłyśmy, w jakich warunkach znajduje się pluton. Plagi były wrzody i świerzb. Długo trwało, zanim nam z Wilna przysłali lekarstwo. Sama pamiętam, jakie to było cierpienie nie można było spać ani chodzić - tak strasznie swędziało całe ciało. W akcjach brałyśmy normalny udział, z tym, że nie mogłyśmy być w pierwszym szeregu tylko raczej z tyłu - żeby mieć wszystkich na oku. Żeby widzieć, do kogo trzeba podejść.

Początkowo nie było lekarza, potem został przysłany student medycyny, już kończący naukę, więc mieliśmy stałą opiekę medyczną.

Przez pewien czas był u nas w oddziale lekarz z prawdziwego zdarzenia, Żyd. Ale to już było w 44 roku.

Wielkie trudności były z rannymi, jeśli byli poważnie chorzy, nie można ich było leczyć na melinach, trzeba było odsyłać do Wilna. Wtedy siatka organizowała te przerzuty. To zwykle się zdarzało po większych akcjach, jak Worciahy. Worciany to był luty 44 rok. Była wtedy duża koncentracja, nasz oddział już wtedy był b. liczny. Liczył ok. 500 osób, plutony były rozbudowane. Kwaterowaliśmy zawsze w kilku okolicznych wsiach. Była odprawa i prawie wszyscy dowódcy byli na tej odprawie kiedy zostaliśmy zaatakowani przez Niemców, którzy jechali na front. Oni zostali powiadomieni o naszej koncentracji i w biały dzień zostaliśmy zaatakowani, to była niespodzianka, tym bardziej, że tak, jak mówiłam, te plutony były rozrzucone po innych wsiach.

Niemniej przyjęliśmy tę akcję od razu i zatrzymaliśmy tych Niemców. Na pomoc przyszli ci z sąsiednich wsi, 22 osoby były ranne - bardzo ciężko i wszyscy zmarli mimo pomocy lekarskiej

Część z nich zmarła już w trakcie odskoku z miejsca potyczki. Żeby oddalić się z miejsca potyczki my przez całą noc szliśmy z rannymi.

Zginęło więc dwudziestu i są pochowani na cmentarzu pod Worzianami. A ci, co przeżyli, zostali odprawieni po trudnych i ciężkich przeżyciach, odskoczyliśmy w zaprzyjaźnione okolicę - Niedrośla i Radiusze. Były roztopy, rzeki wezbrane, myśmy się zatrzymali koło małej, wezbranej rzeczutki, partyzanka radziecka wiedząc o tej naszej ciężkiej sytuacji i o tej ludności, która nas zaatakowała, zaatakowała nas o zmierzchu kiedy ranni, których mieliśmy odesłać do Wilna, znajdowali się jeszcze z nami. Ich sytuacja była taka, że za nami była wezbrana rzeka, przed nami las i myśmy byli wzięci w dwa ognie. Na szczęście, traf i opieka Boska, można powiedzieć, że te dane rakiety, które dla partyzantów radzieckich miały znaczyć atak, dla nas znaczyły wycofanie. I oni poszli do ataku, te dwa oddziały, które miały nas wziąć w kleszcze, trafiły na siebie.

- A to była noc już?

No, to był luty, więc noc, bo akcja za zęła się o zmierzchu i oni się nie rozpoznali. Myśmy musieli przez tę wezbraną rzekę przerzucać rannych. Była jedna jedyna łódka i pamiętam że kładki rannych na śnieg ale udało się nam wszystkim prze rzucić, odskoczyć i odstawić tych, co wyżyli. Znow byliśmy wszyscy razem. Ja opowiadałam o losach tych, którzy wśród których byłam - ci ranni byli tam, gdzie ja byłam. Łupaszko był przy tej akcji przerzutu. Oni właśnie osłaniali i na nich wyszli ci Sowietci. Wpław musieli przez tę rzekę przepływać - cały pluton musiał przepływać, bo nie było innej możliwości i sanitariuszki tak samo.

Nie wszyscy byliśmy skoncentrowani w jednym miejscu. I

wtedy z nami był Węgielnik. Nie wiem, nie przypominam sobie czy on był z nami na odprawie pod Worcianami, ale w Radiuszach był na pewno. Jednak nie dowodził: dowodził wszystkim Łupaszko i wszystko organizował.

Jakie były rezultaty tego spotkania? To, co my wiemy - Sowietów poległo masę. Około 200 osób. Sami siebie załatwili zanim nastąpiło rozpoznanie. Bo myśmy się wycofali szczęśliwie a oni na siebie napadli. Był taki ogień, jak czasem o gwałtowny grad bije.. Taki huk, ognie, ciemno już było. Ja nie potrafię przedstawić tej sytuacji w całej jej grozie. - Pani wspominała, że była Pani ranna w czasie bitwy z Niemcami?

Byłam ranna - rana nie była ciężka, zraniono mnie w lewą rękę w momencie, kiedy niosłam amunicję. W momencie, kiedy Niemcy zaczęli okręzać Torwiany, wyskoczyliśmy z chałupy na otwarte pole gdzie stały łaźnie, jak zwykle we wsiach naszych i właśnie przy tej łaźni Łupaszko dał mi polecenie, by wrócić na kwaterę i przynieść amunicję. Ja pobiegłam, wzięłam tę amunicję i wróciłam do łaźni, ale już ich nie zastałam, bo oni wszyscy poszli do przodu. Mnie się zdaje, że w niedużej odległości ode mnie był nasz kolega, który później był łącznikiem przy sztabie Łupaszki, Orszak. Myśmy biegli razem i pamiętam że Niemcy obsypali nas gradem kul i zatrzymaliśmy się przy miedzy, która, jak to często bywa, była wyższa od niższej położonego pola. Wtedy to ustało. Podniosłam się, zaczęłam biec naprzód i wtedy poczułam, że coś mnie uderzyło w rękę i poczułam pieczenie. Upadłam na kolana, wiedziałam, że dostałam. Nie wiedziałam tylko, czy włądam ręką, czy nie. Poruszyłam nią: widzę, że rusza się ręką, wobec tego podniosłam się, zaczęłam dalej biec, dobiegłam do drzew, do takiego lasu, właśnie po lewej stronie i tam się spotkałam z większą grupą i dowiedziałam się, że zginął mjr I dołączyłam potem do

do grupy, w której był Łupaszko. Znow Niemcy - było takie otwarte miejsce między sośniakiem młodym - obsypali nas kulami, nastąpił ostrzał i wtedy Łupaszko został ranny. W prawą rękę z kolei

Po tym ostrzale usłyszałam, że ktoś woła: siostró, siostró. Pobiegłam w te młode krzaki sośniny i tam leżał ciężko ranny nasz kolega, Janosik - jeden z braci Trzeskich, wspaniałych chłopców. On dostał rozrywną kulą dum-dum w ten sposób, że miał wyrwane całe otwarte płuco.

- Pani Lidio, konwencje międzynarodowe zakazywały używania kul dum,dum. Czyżby Niemcy używali ich tak jawnie?

No widocznie tak, skoro nasz kolega w tej akcji został zraniony taką kulą. Dostał w plecy czy z boku a z przodu miał wszystko wyrwane. Może się odwrócił, nie wiem, bo teren był zalesiony. Zaczęłam go opartywać, ale prawdę mówiąc byłam przerażona bo ta rana była na półtorej dłoni. I on zmarł w Worzianach po przeniesieniu go po bitwie.

W marcu nastąpiło zaplanowane, jak przypuszczam, spotkanie dwóch brygad: naszej i VI brygady pod dowództwem mjr czy kpt Konara, sławnego, znanego cichociemnego spadochroniarza ps. Toroko. Wówczas - i to mi opowiedział jeden z kolegów z VI brygady Łupaszko ofiarował Konarowi konia a za tego konia otrzymał ileś tam skrzynek amunicji. Potem tymi dwoma brygadami znaleźliśmy się w okolicy miasteczka Wiszniew i tam znajdowały się duże bazy partyzantki radzieckiej.

W tym czasie, jak mi się zdaje, były ~~du~~ potyczki z partyzantką radziecką i wtedy zdobyto torbę zawierającą dokumenty dotyczące rozeznania. Był to wywiad środowiskowy dotyczący poszczególnych rodzin w okolicznych wsiach.

Teraz chciałabym opowiedzieć o bitwie z Niemcami, która się wydarzyła w zimie. Chłopcy mieli białe ochronne peleryny - przede wszystkim Łupaszko kazał je sporządzić dla wszystkich podległych sob

bie oddziałów i zmierzaliśmy ku miasteczku Dobiszki, leżącemu nad Bugiem. Gdy już I grupa znalazła się w miasteczku, natknęła się na Niemców, wjeżdżających tam z drugiej strony. Wywiązała się bitwa. W tym czasie część Niemców znajdująca się jeszcze poza miasteczkiem zatrzymała się na wzgórzu przed miasteczkiem położonym niżej nad rzeką i zaczęła nas ostrzeliwać z działka przeciwlotniczego. I wiem, że my, po bitwie, wyskoczyliśmy na pole w kierunku tego działka które ostrzeliwało miasteczko tylko oni nie zdążyli umiejscowić ognia i kule przenosiły na drugą stronę. Działko zostało zdobyte i sporo innych rzeczy, głównie amunicji.

- Czy to działko zostało zniszczone czy zabrane?

Nie, myśmy go nie brali bo nie mieliśmy możliwości później nim operować. A co z nim zrobiono - nie wiem.

Ponieważ Pan słyszał o spotkaniach naszego komendanta Łupaszki z komendantami pewnych brygad partyzantki radzieckiej, chciałabym opowiedzieć to, co pamiętam, to, co wiem.

Wg mnie były 2 takie spotkania - jedno w Syrowatkach a drugi w Cięciniętach. Z propozycją wy tapili partyzantka radziecka albowiem tak było, że przy spotkaniach - nie zaplanowanych - a ale chodziliśmy po tych samych terenach - oni najczęściej wychodzili pokonani. Więc oni wystąpili z propozycją spotkania i uzgodnienia pewnych spraw: dotyczyły one tego, żebyśmy nie prowadzili walki ze sobą, tylko, żebyśmy się mijali nie walcząc. To było do pewnego czasu respektowane - do akcji, w której oni wystąpili pod Radiuszami /czyli w lutym/ I pamiętam, że spotykaliśmy oddział radziecki, mijaliśmy się i nie dochodziło do walki. Ale po Radiuszach już idylla się skończyła i jeśli dochodziło do spotkań, to walki były prowadzone.

Była też bitwa w okolicach Syrowatek - to też było przypadkowe: myśmy wchodzili do wsi, natknęliśmy się na nich, dość spo

ry był to oddział.

Chciałabym też powiedzieć o partyzantach radzieckich - oni byli dość bojowi. Ran jeden ranny dopuścił naszych do siebie i rozerwał się granatem. Opowiadano też, że podczas wycofywania jedna z kobiet osłabła, nie miała sił i zastrzeliła się, żeby nie wpaść w nasze ręce.

- Z tego wynika, że partyzantka radziecka w polu była stroną raczej słabszą

Tak. Przy każdym spotkaniu. Nie było żadnej akcji wygranej. Stąd ta inicjatywa rozmów z Łupaszka I może dlatego chcieli wykorzystać ten moment pod Radiuszami, kiedy byliśmy wykończeni, po ciężkiej walce z Niemcami, obciążeni tyloma rannymi - chcieli nas wykończyć. Oczyszczać teren.

Jeszcze chciałabym wspomnieć o spotkaniu w okolicach Cięcieniec i Syrowatek - naszego komendanta razem z komendantem okręgu wileńsko-nowogródzkiego Wilkiem i przedstawicielami - parlamentariuszami niemieckimi, którzy przedtem wystąpili, że chcą się spotkać. Doszło do tego spotkania i w jego trakcie pojawiła się propozycja uzbrojenia przez Niemców naszych brygad żeby skuteczniej mogły zwalczać partyzantkę radziecką. Może świadomie w wybrali moment po akcji pod Radiuszami i ~~na~~ po tym, co spotkało nas na bazie Kmicica.

Ale zawiedli się. Nigdy niczego nie uzgodniono i nigdy od Niemców niczego nie wzięliśmy. Ponieważ po wojnie wyiągano tę współpracę - chcę podkreślić: owszem, było takie spotkanie, doszło doń z inicjatywy Niemców i właśnie wyjaśniam, w jakim momencie, w jakim celu i jakie były rezultaty. Tzn co mnie, jako szeregowemu żołnierzowi o tym wiadomo.

Chciałam opowiedzieć jak Łupaszko pójechał do Wilna i tam został aresztowany, przypadkowo, w domu teściowej. Początkowo nie wiedzieli, kogo mają potem nie wiem w jaki sposób zostało to wy-

kryto, wywieźli go do Kowna, tam, o ile wiem, miał rozmowy z wysoko postawionymi Niemcami, z obowiązkowymi propozycjami współpracy, spotkali się ze zdecydowaną odmową, nie wiem dlaczego przywieziono go do Wilna i po prostu uciekł z pociągu, w Wilnie Jego nieobecność w brygadzie trwała ok. miesiąc. W tym czasie brygadą dowodził nasz inspektor, Węgielny. W tym czasie mieliśmy akcję na pociąg z Niemcami powracającymi po urlopie na front. To było w okolicach Podbrodzia. Maszerowaliśmy całą noc. To było szybkie podejście do tej niedużej stacji. Dość długo czekaliśmy na odpowiedni moment. To było podobno umówione z kolejarzami. Paru chłopaków wyszło na tor, zatrzymało pociąg wtedy my otworzyliśmy ogień i wołaliśmy *Aussteigen!* Podeszliśmy do samego pociągu, my siostry, też, plutony były rozrzucone wzdłuż całego składu, oni też w pewnym momencie otworzyli ogień, to się działo bardzo z bliska, ja znalazłam się w rowie z nasypu, większość z nas musiała się wycofać i usłyszałam w pewnym momencie "siostro, siostro" i na tym się moja akcja skończyła bo dopadłam do kolegi, ps. Mrówka, już nie żyje, zmarł parę lat temu, mieszkał w Gdańsku, był ranny fosforową kulą zapalającą. Ja się nim zajęłam i tak się skończyła moja akcja na pociąg. W ogóle ta akcja nie trwała długo, zginął chyba jeden z naszych chłopaków - Jastrząb, zastrzelony przez Niemców. Zdobyliśmy nieco broni i wycofaliśmy się.

W tym okresie, kiedy Łupaszki nie było, żołnierze i dowódcy plutonów zaczęli przemyśliwać, w jaki sposób wyrwać go z rąk Niemców. Postanowiono zdobyć jak najwięcej zakładników. Mieliśmy parę takich akcji. Ja brałam udział w akcji pod Wołoszą, gdzie było ok. 150 Niemców. Naszych zginęło niewielu, najwyżej 2-3 osoby. Nie pamiętam, czy ktoś był ranny. Zdobyliśmy parę rkmów i nie tego Niemca, na którego była zasadzka, tylko jakiegoś

burmistrza.

W niedługim czasie dowiedzieliśmy się, że Łupaszko jest w Wilnie.

- A to był jakiś ważny burmistrz?

Nie, on był ze Świra. Tylko po prostu potrzeba było tych zakładników jak najwięcej ale zbierano ich wtedy kiedy Łupaszko był już w Wilnie, już wiedzieliśmy że on zmierza spowrotem na nasze tereny - organizacja nam doniosła. I spotkaliśmy się z nim w okolicach Balingródka.

- A jeszcze do do Węgielnego. Z tego, co słyszałem, nie był otoczony specjalną miłością jako dowódca.

Naturalnie. On był po prostu zwierzchnikiem, nie miał z nami żadnego kontaktu. Bywał w naszej brygadzie ale zawsze w sztabie, z żołnierzami nie miał do czynienia. Poza tym do Łupaszki byliśmy przywiązani - na ogół był lubiany i miał autorytet do wódcy. I dlatego człowiek, który zajął jego miejsce był autorytarnie źle widziany i nie lubiany. Bo on chciał go zastąpić. Dlatego było wiele niechęci w stosunku do Węgielnego. Poza tym - może sam sposób dowodzenia - ludzie nie byli przyzwyczajeni - z Łupaszka przeżyli już niejedną akcję - a to był całkiem nowy człowiek. I zresztą całkiem inny typ człowieka. Z dystansem do wszystkich.

Nie mogłabym go zresztą ocenić jako dowódcy, bo byłam tylko w tej jednej akcji pod jego dowództwem a z chwilą powrotu Łupaszki nastąpiła zamiana.

W brygadzie obchodziliśmy Święta. Akurat mi się to przypomniało, bo Łupaszko wrócił w końcu kwietnia, zbliżał się maj, czyli 3 maja, u nas w brygadzie to było święto bardzo podniosłe historyczne, mowy były, śpiewy, deklamacje, odznaczenia - to się odbywało w Żukowniach. To było jedyne takie święto. Wtedy 5 brygada mogła liczyć do 400 osób. To były te miesiące, kiedy

zaczynało przybywać coraz więcej osób, doszło prawie do 1000. Myśmy się wycofali z terenów płu wsch /Starowilejki/ i przeszliśmy na teren przy granicy litewskiej /Malaty/.

Była taka akcja. Ja wiem, że oni wymordowali sporą ilość Polaków, tylko nie wiem, na skutek czego i wtedy wyszła kontrakcja nasza. To była duża nasza akcja na Podbrzezie - ja nie brałam tam udziału ale byłam w dużej akcji pod Janiszkami. Tam zdobyliśmy rozbitą garnizon, bunkier. Działo się to w tym samym okresie.

W maju nastąpiła reorganizacja. Nasza brygada przeszła spod dowództwa inspektoratu Węgielnego do inspektoratu A. Podhoreckiego. Mnie się zdaje, że wtedy właśnie przeszliśmy na inny teren. Tam były jeziora Poddubińskie. Stamtąd wychodziły akcje na Litwę - na Podbrzezie, na Janiszki i tam Łupaszko spotkał się z oddziałem Góry.

- Pani Lidio, oderwanie się od baz to poważna decyzja. Jakie były powody.

Ja nie mogę tego wyjaśnić. W maju wyjechałam z naszą łączniczką Reginą do Wilna. Chodziło o to, że miałam słaby wzrok, wielu naszych chłopców nosiło niemieckie mundury i już mi się to zaczynało mylić. Więc pojechałam do Wilna a Łupaszko wyprawiając nas powiedział że po naszym powrocie oddziały będą już na nowym miejscu, w okolicach Puszczy Rudnickiej. Słyszałam, że miała być jakaś akcja wspólna z innymi oddziałami, jakaś koncentracja.

My z Reginą po tygodniu wróciłyśmy w okolice Puszczy Rudnickiej. Przejeżdżałyśmy przez tereny, na których była brygada Szczerbca, brygada Juranda, spotykałyśmy się z tymi oddziałami dotarłyśmy do brygady Tura - ta brygada już była na terenach bliżej Lidy - mieli nawet stolicę swoją, w której często prze

bywał Wilk - miasteczko całkowicie opanowane przez partyzantów gdzie mieli swoje szpitale, gdzie wisiały nasze sztandary, taka partyzancka enklawa.

To już był maj. I front się zbliżał. I myśmy naszej brygady nie znaleźli w tym terenie więc wróciłyśmy z Reginą do Bali ngródka. Tam też była koncentracja naszej brygady, naszych oddziałów. Dowiedziałam się wtedy, że nasza brygada jest dzika. Do dziś dokładnie nie wiem o co dokładnie chodziło ale myślę że o zmianę inspektora. Przez pewien czas Łupaszko musiał prowadzić jakieś rozmowy i myśmy wtedy przeszli do Podhoreckiego. Tzn że myśmy, w pewnym momencie nie byli nikomu podporządkowani.

W maju pomaszerowaliśmy, tak jak mówiłam, w kierunku granicy litewskiej, zatrzymaliśmy się nad jeziorami Poddubińskimi, gdzie Łupaszko spotkał się z Górą, a jednocześnie, przez siatkę, nawiązał kontakt z jakimś oddziałem łotewskim, który był na tym terenie. Wiem że tam były nawiązane dosyć ścisłe kontakty ale sytuacja się zmieniała, front się zbliżał, pojawili się Niemcy i to się wszystko rozpięchło, do niczego nie doszło. I to już zbliżał się lipiec. I myśmy wtedy pomaszerowali w kierunku Wilna i zatrzymaliśmy się w Suderwie/?/ dlatego że Łupaszko dostał rozkaz, tak, jak inne brygady, wzięcia udziału w tej akcji /Ostra Brama/. Czekaliśmy tam parę dni. Wiedzieliśmy że Łupaszko postanowił nie brać udziału, wcześniej było postanowione że w razie zbliżenia się frontu nasza brygada będzie się wycofywała z uwagi na to, że stoczyliśmy tyle walk z partyzantką radziecką. Bo byliśmy na terenie wysuniętym, w którym obie te partyzantki występowały i działały. Była wysła na łączniczką i por. Pancerny, który miał dotrzeć do Wilka i przynieść odpowiedź na propozycję Łupaszki. Myśmy odeszli na zachód i wtedy przybyła Regina z wiadomością, że brygady które

brały udział w akcji o Wilno zostały rozbrojone, a żołnierze znaleźli się w Mietnikach. Tak więc 5 Brygada nie brała udziału w akcji o Wilno.

Front zaczął się przewalać przez nas, myśmy szli na zachód i w pewnym momencie brygada nasza nazywała się brygadą Żelazną - Łupaszko zmienił pseudonim, żeby zmylić. Kiedy byliśmy w okolicach Porzecza - widocznie nas rozpoznano - przyjechała grupa oficerów sowieckich, którzy kazali Łupaszce stawić się w określonej miejscowości. Wówczas odbyła się odprawa z dowódcami poszczególnych oddziałów gdzie on postanowił rozwiązać brygadę, a na to umówione, wskazane miejsce, wysłał tylko oddział kawalerii ok. 100 ludzi. Dowódca polecił, by ten sam zdecydował, zależnie od okoliczności, o swoich żołnierzach. Spotkać się mieliśmy wszyscy w okolicach Puszczy Augustowskiej. I z tym por. Tatar odjechał. /Potem on został rozbrojony, część żołnierzy została wcielona do oddziałów Berlinga, komu się udało uciec to uciekł, Tatar przeżył, spotkaliśmy go później/. A nas Łupaszko zebrał, wyjaśnił że jest taka sytuacja że nie możemy iść zwartym oddziałem, jeśli ktoś chce dalej walczyć to spotykamy się w Puszczy Augustowskiej, kto chce, może wracać: każdy sam decyduje o swoim losie.

My niedużą grupą poszliśmy w kierunku PA. Doszliśmy do Niemna i tam okazało się, że front się w PA zaczyna. Wobec tego Łupaszko z tą niedużą grupą, było nas ok. 10 osób, skierował się na południe, w stronę Wołkowyska. Doszliśmy do miejscowości Świsłocz, on tam jakoś nawiązał kontakt z tamtejszą organizacją i myśmy się zatrzymali w puszczy /Różańskiej?/ i znaleźliśmy opuszczone bunkry partyzantki radzieckiej. Tam się zatrzymaliśmy. Ponieważ ogólna sytuacja międzynarodowa była niewyjaśniona, niewiele było wiadomo, trzech chłopaków od nas poszło do Warszawy - to był szwagier Łupaszki, Biały i jeszcze trzeci. Tylko oni już nie dotarli na drugi brzeg, zatrzymali się na Pra

dze.

Koło Świsłoczy nasza grupka się rozrosła - pewnie do 50 osób, albowiem do nas przystępowali ludzie z tamtejszej siatki, miejscowi. Wobec tego musieliśmy zbudować nowe pomieszczenia. Zbudowaliśmy drugi bunkier. Bo wyglądało na to, że będziemy musieli tam zimować. Niestety, do tego nie doszło, pewnie ktoś doniósł i pewnego świtu zostaliśmy otoczeni i gdyby nie nasz kucharz, który wcześniej wstał, żeby zacząć gotować śniadanie i do którego oni wystrzelili ale na szczęście nie zabili to byśmy byli osaczeni. I tam Bóg pewnie nad nami czuwał, dlatego, że to było tak nagłe, tak niespodziewane. I tu Łupaszko miał nosa. Pokazał kierunek wycofywania odpowiedni. A oni już bardzo blisko do nas podeszli. I wycofaliśmy się, ostrzeliwując - i nikt nie zginął. A ponieważ mieliśmy wśród nas ludzi miejscowych udało się nam przejść. Mieliśmy wielkie szczęście. Co prawda warta alarmowała kilka razy w ciągu nocy, że są jakieś szelesty, jakieś trzaski ale przecież byliśmy w dzikim lesie, gdzie i drzewa zbutwiały, i masa zwierzyny, nikt nie podejrzewał że byliśmy otaczani.

Koczując przy ognisku też zostaliśmy otoczeni przez sowiecki oddział wojskowy. Ponieważ jeden z naszych kolegów zachorował, byliśmy w tej okolicy około tygodnia. Ten kolega to był już starszy człowiek, on prowadził naszą kancelarię, naszą kronikę i miał nasze dokumenty brygady. Ponieważ to już był wrzesień, noce chłodne, siedzieliśmy przy ognisku a on, ponieważ bardzo się źle czuł, został umieszczony w kopie siana na leśnej łące. On tam zginął: słyszeliśmy strzał /nie wiadomo, czy się sam zastrzelił, czy oni go zastrzelili/ i potem ten stóg stanął w płomieniach. I całe archiwum zginęło. My chcieliśmy iść mu na pomoc, ale nie mogliśmy przyjąć tej walki, musieliśmy się znów wycofywać i poza Orkanem nikt nie zginął bo to było w lesie

gdzie łatwo można przepaść. Potem szliśmy w kierunku granicy Curzona: w kierunku granicy polsko-białoruskiej. Pewnej nocy, już pod koniec września, znajdowaliśmy się w okolicy Kieturyk, to jest w białostockiem i tam, dzięki miejscowej siatce, zostaliśmy rozlokowani. W Kieturykach Łupaszko nawiązał kontakt z komendantem organizacji białostockiej, dwukrotnie jeździł do Białegostoku. Za drugim razem nie udało mu się spotkać albowiem nastąpiła jakaś wyspa, były potworzone kotły, Łupaszko wrócił z niczym i wtedy zaczęły się obławy jedna po drugiej. Do nas doszłusowało kilka nowych osób i widocznie któraś z tych osób była podstawiona. Z powodu tych obław musieliśmy uchodzić z Kieturyk. Po jednej z takich obław Łupaszko wysłał prawie wszystkich pod komendę Jasienicy, który wówczas nosił pseudonim Nowina, do puszczy Białowieskiej. Został Łupaszko, ja, Maks i Aldona. Maks z Aldoną wyjechali do Białegostoku, tam Maks miał brata, a myśmy pozostali w Kieturykach do 23 grudnia. Ukrywaliśmy się w takiej jamie pożydowskiej. Co drugi dzień chodziliśmy do wsi: jeśli w oknie mieszkania wisiała czapka - można było wchodzić, jeżeli nie - należało się wycofać. Zima, jak wiadomo była wtedy straszna, mroźna, ostra. W tej jamie siedzieliśmy może dwa tygodnie, może i więcej. I 23 grudnia z Puszczy Białowieskiej przyszedł przysłany przez Jasienicę chłopak, partyzant, razem poszliśmy w kierunku Hajnówki, w tym czasie oddział z Jasienicą był już przerzucony w okolice Bielska Podlaskiego, koło Brańska, i tam rozmieszczony wśród siatki. Myśmy dotarli pod koniec grudnia, już po Bożym Narodzeniu, do Kiersnowa. Tam ta cała nasza grupa przezimowała do wiosny, do kwietnia 45 roku. Na wiosnę Łupaszko wysłał do Londynu swojego łącznika, ps. Orszak, żeby nawiązać kontakt z dowództwem w Londynie - Ale jaką drogą? Przez fronty?

To może to był 46? To się też wyjaśni, bo Orszak napisał

pamiętniki.

W każdym razie tam była nasza baza. Łupaszko cały czas był w kontakcie z Organizacją Białostocką i z komendantem Liniański ps. Mécisław. Chyba tam właśnie dostał Łupaszko nominację na majora.

Tak jak mi się wydaje 5 kwietnia wyszliśmy w teren już na terenie Białostockiego. Koło Kiersnowa i wsi Nurzec. Tu jeden z kolegów mi przypomniał, że wśród ludzi, którzy się znaleźli pod komendą Łupaszki w tym okresie było wielu żołnierzy z różnych brygad wileńskich. Wobec tego Łupaszko podzielił swój oddział na trzy grupy z których każda tworzyła jakby załazek brygady: piątej, dowódcą której został por. Mécisław, trzeciej - Szczerebca - został por. Bury i tzw VI brygady szturmowej Tonki - Konara - por. Zygmunt. Ale w późniejszym okresie dołączyła do nas grupa żołnierzy kościuszkowskich - chyba w maju - którzy zdezerterowali, dwoma ciężarówkami, z por. Piastem. I to była taka twarda grupa. Wszystkie te grupy operowały na terenie białostockiego, każda miała wydzielony teren. Jednym wówczas głównym zadaniem było ponowne zdobycie broni i pieniędzy, którymi płaciliśmy gospodarzom na kwaterach. Jedną z pierwszych akcji, w której brałam udział to było rozbrowienie posterunku milicji w Narwce. Weszliśmy do miasteczka podstępnie, kilku z naszych chłopaków było przebranych za żołnierzy sowieckich, reszta miała mundury Wojska Polskiego. Niby że Sowieci wzięli do niewoli bandytów. Posterunek został rozbrowiony, nie pamiętam, czytam byli zabici, zabraliśmy broń i żywność ze spółdzielczego sklepu. W tych okolicach dołączyła do nas nowa siostra: siostrzyna, o której dowie się Pan później. Teraz tylko parę słów: ona była córką leśniczego, rodzice i młodsza siostra zostali aresztowani przez Sowieców i wywiezieni, ona została sama z babką. Miała chyba 17 lat kiedy do nas dołączyła.

Następna akcja, w której brałam udział to było rozbicie posterunku żołnierzy pilnujących przeprawy przez most na Bugu w Siemiatyczach. Chyba kolejowy. Wtedy nikt nie był ranny ani nikt nie zginął, z żadnej ze stron. Pamiętam, że była również akcja na posterunek SOKistów pilnujących torów kolejowych - w Kleszczelach. Czeremcha-Kleszczele. Blisko Czeremchy. Wtedy nie mieliśmy stałej kwatery. Odkąd znaleźliśmy się w terenie, wszystko było ruchome. Łupaszko przenosił się z drużyny do drużyny /mówiliśmy też : szwadrony/. A stałej kwatery nie mieliśmy. Co pewien czas były koncentracje - te wszystkie 3 a później cztery grupy spotykały się, zdawały sprawozdanie ze swojej działalności, ze swoich możliwości operowania w terenie i znów rozchodziliśmy się do ponownego spotkania. Siatka terenowa nam bardzo pomagała, jak najbardziej ścisła była współpraca, W momencie wyjścia w teren adiutantem Łupaszki był Nowina, por. Lech Beynar, który potem znany był jako Paweł Jasienica. Potem, kiedy dostał awans na kapitana, poprosił o zwolnienie z funkcji adiutanta i zmieniał ugrupowania, czasem chodził z Zygmuntem, czasem z Mściszawm. Adiutantem Łupaszki został por. Stefan. Nie wiem, czy był miejscowy, czy z terenu wileńszczyzny. Chyba miał na imię Marek: może komuś innemu ta informacja się przyda żeby uzupełnić ten epizod. W tym czasie wychodziły na nas obławy organizowane przez berlingowców. Łupaszko nigdy nie chodził dużą grupą. I w okolicy Sokołowa jesienią pod wieczór wyszła na nas taka grupa, wówczas Łupaszko, by zmylić obławę i ułatwić nam sytuację, gromkim głosem zaczął nam wydawać rozkazy, jakbyśmy byli dużym oddziałem. To podziękowało, żołnierze, którzy mieli nas schwytać czy otoczyć pozwolili nam się wycofać. Inną przygodę z obławą miał por. Zygmunt, w którego grupie przebywał wówczas Jasienica. Ta miała groźniejszy przebieg: stoczono walkę i Nowina został poważnie ranny w nogę

ranny w nogę i właściwie w tym momencie skończyła się jego działalność partyzancka.

We wrześniu 45 roku znaleźliśmy się w okolicach Wyszonek Kościelnych i stamtąd Łupaszko wraz ze mną i z Mieciem wyjechaliśmy do Gdańska. Ponieważ: już latem Łupaszko otrzymał rozkaz rozwiązywania oddziału. I wówczas wysłał Miecia na zwia-
dy, do ujawnienia się. Chciał zobaczyć jak to przebiega, żeby pomóc innym żołnierzom pragnącym się ujawnić. Miecio wrócił, opowiedział i ci, którzy pragnęli wystąpić, otrzymywali nieduże sumy pieniędzy i przeważnie lewe dokumenty. My wyjechaliśmy w końcu września. W terenie został jeszcze oddział Wiktora który nadal miał jeszcze ułatwiać wyjście innym chłopakom, powrót do normalnego życia, a ci, którzy się nie zdecydowali, bali się, zostali w terenie w bliskim kontakcie z oddziałem Młota z którym Łupaszko współpracował blisko przez cały 45 rok i który również postanowił nie ujawniać się i nie wychodzić z terenu.

W Gdańsku przebywała teściowa Łupaszki, wychowująca córkę. Tam zamieszkaliśmy w Oliwie. W Oliwie Łupaszko spotkał się z Pohoreckim i jeszcze jednym oficerem AK Wilenskiego, pseudonimu nie znam, nazwisko Augustynowicz. Wówczas powstała nowa organizacja: Ośrodek Zbrojny Wileńskiego AK. To nie był WiN. A może Wojskowy Ośrodek Wileńskiego AK. Wiem, że Łupaszko odbywał spotkania i Pohorecki został jego przełożonym. W październiku wyjechałam do znajomych do Nowego Targu. Byłam tam ok. 2 tygodni. W tym czasie Ł. został przypadkowo aresztowany, wypuścili go nie rozpoznając. Dopiero po fakcie dowiedzieli się, kogo mieli. Byliśmy przecież na lewych dokumentach. Natychmiast wyjechał z Gdańska w okolice Sztumu. Kiedy wróciłam z Nowego Targu, powiedzieli mi, że nam tam

dołączyć. Z nami razem w Oliwie przebywał jeszcze młody chłopak, 18letni, Miecio, który dołączył do nas jeszcze na terenie Wileńszczyzny i potem zawsze był razem z nami. Był jak rodzinny. W Sztumie zamieszkaliśmy w gospodarstwie na peryferiach. To gospodarstwo otrzymał Łupaszko przez znajomego z Wilna. Tam zjeżdżali do nas różni koledzy i chłopcy z partyzantki. Łupaszko był prawdziwym wojskowym, zawodowcem i czuł się zawsze żołnierzem Polski. Wobec tego uważał że nadał służyć sprawie Polski, uznawał dowództwo londyńskie. On cały czas czuł się podporządkowany.

- Ale czy był podporządkowany ślepo?

To trudne pytanie. Bo przełożony to jest przełożony jest jakaś linia wytyczna postępowania ustalona z góry. Jest rząd któremu się podlega. Tu działa wg własnego uznania wg okoliczności. Rządzi się własnym rozeznanie, poczuciem obowiązku tu jest pozostawiony sam sobie. Te ramy są luźne, a jednocześnie silnie wiążące.

- A czy wiedzieliście już o tym, że rządy zachodnie cofnęły uznanie dla rządu londyńskiego?

Tak. W 45 roku już wiedzieliśmy o tym. Ale ponieważ sytuacja międzynarodowa jeszcze nie była wyjaśniona, rząd tamten jeszcze był respektowany, byśmy byli jego żołnierzami, wobec tego to był dalszy ciąg.

Na tej kolonii przebywaliśmy do lutego 46 roku. Wówczas Łupaszko już organizował to swoje wojsko do wyjścia na okres wiosenny. Niestety z tej kolonii musieliśmy pewnego pięknego dnia nagle wyjść a i to każdy szedł w pojedynkę, bo ostrzeżono nas, że zostaliśmy rozpoznani. Wówczas udaliśmy się do miejscowości o 14 km odległej od Sztumu, tam był majątek Zielenica, którego dyrektorem był również znajomy Łupaszki z Wileńszczyzny. On nas ulokował w folwarku jemu podległym.

Mieszkaliśmy w domach, w których kiedyś mieszkali robotnicy niemieccy z tych majątków. Byliśmy tam przez kwiecień, w maju zmieniliśmy jeszcze raz miejsce pobytu, zresztą też w okolic tego majątku Zielenica, i w maju wyszliśmy w teren. I obecnie teren operacyjny był inny: już nie na Białostocczyźnie tylko na terenie Mazur i Borów Tucholskich. Nasz działalność polegała na dawaniu świadectwa, że jest jeszcze inne wojsko niż Polski Ludowej, że ~~działa~~ ^{*}działa w terenie. Nadal głównie staraliśmy się zdobywać broń. Mówiłam o niesłychanie trudnej sytuacji: nadal wychodziły na nas bardzo silne obławy. Bez przerwy przekraczaliśmy Wisłę i działaliśmy to z jednej jej strony, to z drugiej. Sytuacja się w sierpniu tak skomplikowała, że na ostatniej koncentracji naszego oddziału który wówczas liczył ok. 150 ludzi Łupaszko zapowiedział spotkanie na jesieni na terenach Białostocczyzny. i każdy z dowódców tych małych oddziałków - drużyn miał podążać własnymi drogami i wg własnego rozeznania w kierunku woj. białostockiego. My wróciliśmy na dawne tereny - w okolice Kiersnowa, Nurca, Brańska. Mieliśmy nie przyjmować żadnych walk, chyba, że nie można było inaczej. Lecz żeby żołnierze się nie demoralizowali - Łupaszko zarządził przeprowadzanie kursów dla młodszych dowódców. I wtedy prawdopodobnie dostał rozkaz rozwiązania naszych oddziałów. Przebywaliśmy jeszcze w terenie do marca 46. W tym czasie zjawił się u Łupaszki jeden z naszych partyzantów który wcześniej w Borach Tucholskich ujawnił się i zaczął współpracować z UB. Przyjechał z propozycją od Ministra Radkiewicza żeby się spotkać - miejsce i czas był do omówienia. Łupaszko nie skorzystał z tej propozycji i do spotkania nie doszło. W międzyczasie w miarę możliwości ubywało ludzi z naszych szeregów: dostarczano dokumenty, pieniądze.

Łupaszko w marcu 46 roku wysłał za granicę Orszaka do Londynu żeby otrzymać konkretną instrukcję. Sytuacja była tak trudna, tak skomplikowana, ludzie ginęli. Po powrocie Orszaka zaczęła się demobilizacja na większą skalę. Oddział się rozbrajał.

W kwietniu wyjechaliśmy razem w okolice Prudnika, na Ziemie Odzyskane. Tam się spotkał z organizatorami jeszcze z Wileńszczyzny. Czekał parę dni na to spotkanie. Po tej rozmowie wyjechaliśmy w okolice Głubczyc i zamieszkaliśmy we młynie, jako gospodarze tego młyna. Z nami razem był Orszak, i Miecio. Tam byliśmy do lipca 46. Wtedy ostrzegł nas milicjant, że mają nas aresztować. Podobnie, jak pod Sztumem dosłownie w ciągu 1 godziny myśmy się rozjechali, Orszak z żoną pojechali - jak się później dowiedzieliśmy - do krewnych a Miecio, Łupaszko i ja pojechaliśmy w okolice Jordanowa. Tam zamieszkaliśmy u gospodarza jako letnicy.

- A czy były jakieś plany przerzucenia drogą morską, z których Łupaszko nie skorzystał?

Były dwukrotnie. W 45 roku, kiedy byliśmy w Gdańsku, i potem drugi raz po powrocie Orszaka z Londynu. Łupaszko z tych propozycji nie skorzystał bo nie chciał pozostawiać swoich żołnierzy. W jaki sposób te przerzuty miały być zorganizowane, tego nie wiem. Nie byłem w to wtajemniczona.

Z Jordanowa przenieśliśmy się do Zakopanego i tam również Zygmunt utrzymywał kontakty: do Zakopanego przyjechał Wiktor z terenu i nasi żołnierze, z którymi Zygmunt utrzymywał kontakty. Jakie kontakty, jakie decyzje - nie jest mi wiadomo. Wiem, że dwóch chłopaków wyjechało za granicę. Wtedy na Podhalu jeszcze działały oddziały Ognia, ale my nie mieliśmy z nimi kontaktów. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Kiedy by

byliśmy w Zakopanem, do Zygmunta przyjechał Jasienica, był u nas parę godzin, treść rozmowy nie jest mi znana. To była jesień 46. Myśmy byli w Zakopanem do maja 47 roku. W tym czasie przyjeżdżał brat Zygmunta ze Szczecina, ten, który wrócił z zagranicy, starszy jego brat. Zmienialiśmy bardzo często miejsce zamieszkania, stale na lewych dokumentach.

Tu był taki wypadek o którym wspomnę. W 46 roku, kiedy działaliśmy na terenach Mazur, byliśmy niedaleko bunkrów Goeringa - koło Pisz, koło Rucianego. I tam była taka koncentracja. W tym samym czasie przyjechał autobus z wycieczką. Były to rodziny, dzieci, spędziliśmy z nimi wspólnie cały dzień. Tzn oni byli przez nas zatrzymani, ale przez cały dzień razem się bawiliśmy, śpiewali, razem jedli, było uroczo, bardzo, bardzo przyjemnie. Ci ludzie byli i zaskoczeni i zachwyceni i zauroczeni. Ten dzień był bardzo, bardzo miły. Dopiero wieczorem mogli odjechać - myśmy poszli swoją drogą, oni wrócili do siebie.

Jesteśmy teraz w Zakopanem, może Pan ma rację, może to już 47 rok, tak, maj. Łupaszko jeszcze w wojsku, w kawalerii brał udział w wyścigach, zawodach hippicznych, miał wypadek pęknięcie kręgosłupa i to stale mu dokuczało i na to cierpił. Wówczas chodziliśmy do lekarza, do jakiejś kliniki, on się tam leczył, czekaliśmy normalnie w poczekalni - i w pewnym momencie - jeden chłopak - ciągle na nas popatrywał, zawołał jedną z opiekunek, coś jej mówił. To nas zaintrygowało, Łupaszko zawołał go i spytał: kolego, gdzieśmy się spotkali? A ten chłopak mówi: proszę Pana, i Pana i Panią znam, myśmy się spotkali w bunkrach Goeringa na Mazurach. Ale nic się nie stało. Inna sprawa, że myśmy już na lekarza nie poczekali.

W maju wyjechaliśmy do Chabówki, stamtąd do Osielca, i w Osielcu zostaliśmy aresztowani. Muszę powiedzieć że

Łupaszko przez cały czas utrzymywał kontakty: z Wiktorem np który już w tym czasie we Wrocławiu mieszkał i z innymi osobami z organizacji podziemnej. Tylko, że ten kontakt był ograniczony. Dosłownie tylko jedna osoba wiedziała, gdzie on przebywa.

W Osielcu mieszkaliśmy około 2 tygodni i Wiktor miał do nas przyjechać z rodziną na wakacje. Łupaszko był człowiekiem, który łatwo nawiązywał kontakt z ludźmi. Te kontakty były zawsze jakieś takie przyjazne, bliskie. Ludzie go lubili: umiał z ludźmi rozmawiać na każdy temat. To nie było powierzchowne, on rzeczywiście się interesował. A jednocześnie potrafił utrzymać dyscyplinę, czuło się w nim komendanta, tak zresztą był nazywany.

Bardzo lubił być z ludźmi, mówił, że ich rozmowy i obecność pomaga mu w rozwiązywaniu problemów, nad którymi się zastanawiał: nie potrzebował samotności, lubił być wśród ludzi. Szanował swoich podwładnych, jeśli powierzał im zadania to były to decyzje przemyślane, akcje dokładnie przeanalizowane. Nie postępował pochopnie. nie narażał ludzi niepotrzebnie.

Często lubił zasięgać rady i słuchał uważnie, co inni mówili na jakiś temat. To pomagało mu rozszerzyć własne widzenie problemów, pomagało w znajdowaniu najlepszych rozwiązań.

Wracając do Osielca. Jak Pan wspomniał, w okolicy były jeszcze oddziały Ognia, na które odbywały się co i raz obchody. Pewnego wieczoru przyszedł gospodarz, mówił, że jest bardzo niespokojnie, w górach coś się dzieje, jakby ostrzegał, wtedy trudno to było ocenić - dopiero dalszy rozwój wypadków nadał jego słowom głębszy sens - w każdym razie tego wieczoru mówił Zygmuntowi, że on wyjeżdża do syna w Poznańskie, że tu jest niespokojnie, tak to zapamiętałam

W momencie aresztowania nas gospodarza nie było, była tylko gospodyni, dwoje młodszych dzieci - takich подроstków. Chcę jeszcze powiedzieć, że kilka dni wstecz - ponieważ ten dom był przy szosie a zaraz potem był tor kolejowy - ja zauważyłam wojskowy samochód terenowy który dość wolno mijał nasz dom. To zwróciło moją uwagę. Ale to było na kilka dni przed naszym aresztowaniem. Potem ta rozmowa z naszym gospodarzem, atmosfera niepokoju, że tu kogoś łapią, i następnego dnia nad ranem usłyszeliśmy strzały, potem cisza - z tyłu domu były góry porośnięte lasem - potem spokój, nigdzie żywego ducha, wróciłam do pokoju i zaraz potem łomotanie do drzwi kuchennych od strony gospodarzy i wołanie "ratujcie, wpuśćcie, bo mnie łapią". Ruch u gospodyni, otwieranie drzwi, ktoś wpadł do środka "Schowajcie mnie, bo mnie łapią". Słyszałam wchodzenie na strych - i znów cisza. Po kilku minutach - byliśmy wszyscy na nogach - zauważyłam pod oknami żołnierzy i natychmiast łomotanie do okien i drzwi - natychmiast otwierać, ślady prowadzą do tego domu. Gospodyni otworzyła, jeszcze do nas nie doszli, bo wchodzili przez drzwi kuchenne, Zygmunt już był ubrany, ja w nocnej koszuli, nie mieliśmy broni, potem wpadli do nas, wepchnęli nas do dużego pokoju gospodyni, postawili nas pod ścianą, razem z gospodynią i tymi dziećmi, i oni byli zajęci szukaniem tego, kto się skrył w tym domu.

- Czy to było autentyczne szukanie, czy podstęp?

W danym momencie nam się wydawało, że naprawdę szukają. Słyszeliśmy wystrzał - potem ktoś wbiegł dawać sznury, krępować, potem się okazało że to była pozoracja ale w tamtym momencie wyglądało autentycznie. Przynajmniej jeśli chodzi o mnie, tak to odczuwałam.

Sprawadzili tego młodego człowieka ze skrepowanymi rękami

i wtedy rzucili się na nas: Łupaszkę wzięli osobno, mnie do naszego pokoju i od razu zaczęli pytać: czy wiem, kto to jest Łupaszko, Pohorecki, zaczęli wymieniać te wszystkie nazwiska. Naturalnie mówiłam, że nikogo nie znam, no bo jeszcze nie wierzyłam, dopiero jak zobaczyłam że Zygmunta otaczają wyżsi oficerowie, a jeszcze czekali na jakiegoś majora, i kiedy ten major przyjechał - wszystko zostało wyjaśnione. Wiedziałam już, że wiedzieli, kim my jesteśmy, że to nie jest przypadek, dopiero wtedy zrozumiałam i na tę nocną koszulę nałożyłam płaszcz i tak jechałam do Myślenic nas wieźli willisem, w Myślenicach dopiero się ubrałam, z Myślenic nas dowieźli do Krakowa, w Krakowie nie było żadnego śledztwa. I następnego dnia, samolotem, w towarzystwie innych jeszcze osób - kogoś jeszcze wieźli tym samolotem, kogo przedtem widziałam, ale teraz nie mogę sobie przypomnieć, kto to był. To była kobieta: ja na pewno ją znałam.

No więc skoro to była inscenizacja, to musiał ktoś wysypać - ale kto - nie wiem do dnia dzisiejszego. Nasz adres znał Wiktor. Nikt poza Wiktorem w tym czasie u nas nie był. A Jasienica? Ja nigdy, nigdy nie słyszałam, żeby on mógł być sprawcą naszego aresztowania. On nie wiedział bezpośrednio od nas i o nas, że my jesteśmy w Osielcu. Był u nas, ale w Zakopanem. Dużo wcześniej. Prawie rok. A z Wiktorem widziałam się tylko na sprawie: potem został wyrok wykonany, on dostał karę śmierci.

Potem dowieźli nas do Warszawy, w Warszawie już każdego wieźli osobno, przywieźli nas do MBP w Aleje przy Koszykowej i tam siedziałam w podziemiach i prawie natychmiast dowiedziałam się, że prawie cała organizacja wileńska od dwu tygodni była wyaresztowana. Czyli my zostaliśmy are-

sztowani na samym końcu. Ja siedziałam w celi z paniami który
nie znałam, ale one były też z wileńskich spraw. One już były
bite, mnie bito tylko raz. I to po twarzy, po głowie, w brodę
- w przysiadę. Kiedyś wspomniałam że jeździłam do Nowego Targu.
I właśnie został aresztowany mój kolega, znajomy bliski jesz
cze z dziecinnych lat, który wówczas był na Politechnice Warsz
awskiej w Gdańsku /?/ i chcieli udowodnić, ja miałam potwierdzić,
że on wszystko o nas wiedział, że wiedział że myśmy się
ukrywali, że byliśmy w organizacji i on również. Wtedy to by-
ło najcięższe moje śledztwo. Bo to były tylko domysły a jego
chcieli doczepić. Wówczas stałam na betonie, przy otwartym ok
nie, to był luty. To było najcięższe. A jeśli chodzi o sprawy
dotyczące naszej walki, naszych oddziałów - oni wiedzieli wsz
stko. Mieli dowództwo: Pohorecki siedział, Łupaszo siedział,
inni oficerowie - z wywiadu taki Borkowski Henio, razem z na-
mi był w jednej sprawie, i też dostał karę śmierci. Więc nie
musieli ze mnie nic wybijać. To wszystko było znane.
Miałam przykre momenty - np przyprowadzili kiedyś bardzo pobi
tego chłopaka, ogromnie. Kazali mi rozpoznawać, kto to jest.
Ja go nie rozpoznałam, do dziś nie wiem, kto to był.
Chcieli mnie zrobić świadkiem koronnym do różnych spraw.
Początkowo poprosili mnie do śledczej celi, to prawie było już
pod koniec, nasza sprawa była już zakończona, i zaczynają mnie
pytać - a że jakiś tam oddział należał do AK wileńskiego,
że na pewno walczyli z partyzantką radziecką tak, jak my itd.
Ja w pewnym momencie orientuję się, że jeśli ja potwierdzę
że tak czy tak - to ich wkopię.

Ja wtedy powiedziałam temu śledczemu: widzę, że chcecie ze mnie zrobić świadka do spraw, o których w ogóle nie wiem. Natychmiast śledztwo zostało przerwane i zaczęli mi tłumaczyć, że to wszystko prawda, że na tym terenie walczyliśmy z partyzantką radziecką. Tego rodzaju były chwytły.

Jeszcze byłam wzywana, jeszcze chyba przed sprawą - kiedyś w nocy i przeprowadzono mnie do cwli - ale nie na X pawilon, gdzie siedziałam poprzednio, tylko do głównego gmachu, siedział śledczy i protokolant. I jakiś człowiek w cywilnym granatowym ubraniu, w ciemnych okularach. Podali mi nazwisko, zapytali, czy je znam. Odpowiedziałam przecząco. A czy znam, czy słyszałam o Szczerbcu. Odpowiedziałam, że słyszałam, to komendant VI Brygady. No to to jest właśnie Szczerbiec. Nazwisko Fróg. Okazało się że właśnie Szczerbiec prosił, by mnie przyprowadzono jako świadka obrony. Miałam potwierdzić pewne rzeczy, które on chciał, żeby były potwierdzone. Tzn. wtedy ja tego nie wiedziałam, dopiero kiedy była rehabilitacja ja zostałam wezwana jako świadek obrony. Ta rehabilitacja była oczywiście pośmiertna, bo wyrok został wykonany. Spotkałam się z jego żoną w sądzie. Ta żona składała kilkakrotnie wnioski o rehabilitację męża, wnioski były zawsze odrzucane, to już było po moim wyjściu z więzienia, już byłam na studiach, wtedy wreszcie na pośmiertna rehabilitacja nastąpiła. Byłam na tym - można tak powiedzieć - procesie

Więc wtedy zostałam wezwana w nocy, ten śledczy zadał mi kilka pytań, z których pierwsze trzy zanegowałam - że oni nie walczyli z partyzantką radziecką, bo byli na innym terenie - wileńskim, walczyli z oddziałami Plechaviciusa, z Niemcami - bo tak rzeczywiście było. Potem zapytano mnie, czy wiem, w jakim celu Szczerbiec się spotkał z Łupaszka w Malatach. Odpowiedziałam, że wiem, że było takie spotkanie, ale treści roz-

mowy nie znam.

Po sprawie, kiedy Łupaszko jeszcze siedział w celi śmierci - ich tam siedziało ok. 100 osób - ich adwokaci jeszcze składali wnioski o ułaskawienie - dostaliśmy zezwolenie na widzenie, mieliśmy to widzenie, było trzech oficerów i nas dwoje, powiedzieli, że możemy rozmawiać tak długo, jak chcemy, to były rozmowy całkiem prywatne, nie dotyczące spraw oddziału. Powiedział mi, żebym się uczyła, żebym wyszła za mąż, że nie wie, jak teraz wygląda jego córka - że nie może sobie nawet jej wyobrazić w myślach i wspominał o swojej matce, którą rzeczywiście ogromnie kochał. Matka dla niego była kimś bardzo, bardzo drogin. Jeszcze wtedy żyła.

Trudna była to rozmowa, bo wiedziałam, że on nie dostanie tego ułaskawienia.

Potem jeszcze raz go widziałam - kiedy zabrali go z celi śmierci - już na izolatkę, do piwnic. Myśmy mieli spacery, a okna izolatek wychodziły na spacerniak. W pewnym momencie usłyszałam, że mnie zawołał: Ewa, i zobaczyłam w lufciku go jeszcze. Ewa dlatego, że na terenie Wileńszczyzny miałam pseudonim Lala i było wiadomo, że gdzie Lala, tam Łupaszko, więc dla zmylenia w pewnym momencie zmieniłam pseudonim na Ewa. I ja go wtedy ostatni raz widziałam.

A jeszcze przy rozmowie - to też go charakteryzowało - on będąc silnym mężczyzną wewnętrznie ulegał pewnym przesądom. Może jakiemuś mistycyzmowi. Wtedy mi powiedział, że da mi znać kiedy mnie zabiorą na wykonanie wyroku. I rzeczywiście, to jest śmieszne, ale powiem, jak to wyglądało. W nocy, z 6 na 7 lutego, /potem, jak się dowiadywałam, właśnie został zabrany z celi śmierci/ ja byłam w celi bardzo dużej, tam przebywało nas przeszło 100 osób, wszystkie byłyśmy po sprawie, spałyśmy

na podłogach, na stołach, na łózkach po dwie, straszny był ścisk, straszne warunki. W pewnym momencie budzę się, bo słyszę, jakby ktoś nadawał Morsem - takie właśnie uderzenia których jednak nie mogę odczytać - a czytałam wtedy bardzo biegle - i miałam wrażenie, że cały czas ktoś mi nadaje, tylko ja nie mogę zrozumieć, co. I to uciecha - i znów. Zastanawiałam się, z której strony te uderzenia dobiegają. Zaczęłam iść w kierunku okna - i okazało się, że był wiatr, lufcik był otwarty - i lufcik stukał, ale w sposób do złudzenia przypominający nadawanie. No i potem się dowiedziałam, że właśnie tej nocy on został zabrany.

Jak zginął, żtego nie wiadomo. Potem, kiedy siedziałam w Fordonie, obchodziła więzienie taka komisja - myśmy tam siedziały w suterynach - po dwie spałyśmy na łóżku, też było pełnienie i w tej komisji była jakaś szucha z Departamentu Więziennictwa a nam pozwolono do tej komisji się zwracać z zażaleniami, z prośbami o wyjaśnienia. Ja wtedy wystąpiłam, żeby mnie powiadomiono, o dacie śmierci, miejscu, gdzie został pochowany - no, wszystkie informacje. Obiecali mi odpowiedź ale naturalnie nigdy nie otrzymałam żadnej.

Jeszcze potem kiedy siedziałam w Inowrocławiu w izolatkach /bo z Rakowieckiej przewieźli mnie do Fordonu, tam siedziałam chyba rok, i pewnej nocy wszystkie wysokowyrokowe tzn od 15 lat - 15 lat i dożywocie - kazali nam się spakować, wszystkie rzeczy oddać, wsadzili nas do ciężarówki krytej brezentem - myślałyśmy że nas wywożą gdzieś na białe niedźwiedzie - ale dowieźli nas do jakiejś miejscowości. znów kazali nam wszystko oddać, rozebrać się, pod prysznic, kazali się namydlić, przez moment puścili wodę, tak, że zostałyśmy całe w mydle, dali straszne łachmany, dosłownie jak ścierki od podłóg i wsadzili

nas do izolatek. To był Inowrocław.

Następnego dnia przynieśli kartę pocztową na której trzeba było zawiadomić rodzinę: przebywam w Inowrocławiu. Wszystko było pisane pod dyktando, nie wolno było użyć dużej litery, ani kropki, ani przecinka, wszystko pod dyktando, to było wysyłane. Nigdy nie zapytałam rodziców, czy dostali tę kartkę.

Tam prawie nie było spacerów. Co chwila były przeprowadzane nocne kontrole, rewizje. To było tak: cela, prycza, siennik, stół odkładany i stołeczek odkładany. No i naturalnie kibel. Często przenoszono nas z celi do celi. Jeden koc, poduszka napchana słomą i siennik napchany słomą. Bardzo długo nie było palone: miałam odmrożone ręce i porobiły mi się rany, spałam w słomie: wchodziłam do siennika, żeby było ciepłej, i zgłosiłam się z tymi moimi ranami do ambulatorium. Tam mi powiedziano, że nie trzeba było łazić po lesie. I spowrotem do celi. Ponieważ nie było żadnego ciepłego ubrania, nie wychodziłyśmy prawie na spacer. spacer były bardzo rzadkie. Jedzenie bardzo marne. I bez przerwy te rewizje. Całą słomę wyrzucano z sienników, nam kazano robić najrozmaitsze przysiadki, jak byśmy nie wiadomo jakie grypsy przechowywały: a nie miałyśmy ani widzeń, ani listów, ani książek, byłyśmy zostawione same sobie. W tym czasie miałam dwie rozmowy. Jedną z jakąś panią z departamentu więziennictwa, która powiedziała że powinnam zrozumieć swój błąd, że powinnam się zrehabilitować w stosunku do Polski Ludowej. Inteligentna była osoba, nie pwiem, rozmawiało się towarzysko, i potem miałam wizytę pana Różańskiego. Był w jasnym garniturze, bardzo opalony, mówił do mnie per pani, mam wrażenie, że po prostu chciał mnie zobaczyć, bo rozmowa była bardzo krótka i błaha.

On nie był wysoki, silny brunet, smagły, bardzo przystojny

był pan.

Chcę powiedzieć, że jeszcze wczasie śledztwa miałam rozmowy z wyższymi oficerami - bo normalny śledczy - ten, który prowadził naszą sprawę nazywał się Józef Korczak; przynajmniej tak się wtedy nazywał - był bardzo przystojnym młodym człowiekiem blondyn, orli nos, niebieskie oczy i bardzo inteligentny. Ja się go o wiele więcej bałam, niż tych śledczych, którzy wymyślali, brutalnych, używających bicia jako środka perswazyj, straszili kastetami - mnie nie uderzyli - tamci rozmawiali. Były prowadzone normalne towarzyskie rozmowy. Na temat aresztowania, uwięzienia, męża, postępowania. I tak samo było, kiedy przyszedł Różański.

Potem po śmierci Stalina pozwolili nam korzystać z biblioteki, pozwolili napisać do domu, pozwolili na widzenie, to było bardzo przykre, raz miałam widzenie z mamą i prosiłam żeby więcej nie przyjeżdżała: ja stałam za jedną siatką, mama za drugą a pomiędzy nami chodził strażnik. W zasadzie nie wiadomo było, o czym mówić, tyle, że widziało się, jak ten bliski wygląda i jak się czuje. To było bardzo przykre, listy były o wiele przyjemniejsze.

Więc biblioteka. Przyszła naczelnik więzienia i zapytała, jakiego rodzaju książki chcemy czytać. Ja prosiłam o coś, z czego mogłabym się czegoś nauczyć. Ponieważ wtedy mi świtała myśl, że jeżeli wyjść z więzienia - a wierzyłam w to absolutnie - to będę się zajmowała rolnictwem, pójdę na rolnictwo. I obiecała mi, że jeżeli tylko takie książki są, to je dostanę. I dostarczono mi książkę o melioracjach rolnych. A potem, ponieważ już nic więcej nie było z tego zakresu, czytałam beletrystykę.

Potem - w maju lub w czerwcu - przywieziono nas spowrotem do Fordonu

i tam dalej do pracy. To chyba było w 54 roku, już niw pamiętać ja tam siedziałam przeszło rok. Zaczęłam pracować w hafciarni patek oficerskich: wojskowych, milicyjnych, gwiazdek. Tam dostaliśmy fundusz A, fundusz B, A to były te pieniądze, które odkładano i które otrzymałam przy wyjściu, a z funduszu B można było kupować wszystko w kantynie więziennej. Tam wszystko było, nawet pomarańcze. I widzenia wtedy były, i listy.

Pracowałam w tej hafciarni, wyrabiałam normę - ok. 180 % Za wyrobienie normy dostawało się dodatkowo kiełbasę.

Zaczęły się rewizje procesów, zmniejszenie wyroków. Dzień nie wychodziło po parę osób. Ale jeszcze sporo było więźniarek bo działała ciągle pracownia czapek i hafciarnia. Nas było ze 150 osób, jeśli nie więcej. Pracowałyśmy nierówno: w momencie otrzymania zamówienia trzeba było je jak najszybciej wykonać. W momencie przestoju niektóre musiały wracać do cel i nie pracowały: zostawały tylko te najlepsze. To było przykre.

W tym czasie utworzyłyśmy kółko dramatyczne, robiłyśmy występy, nawet wystawiałyśmy jakieś sztuczki.

Potem przyszło zmniejszenie wyroku - z dożywocia na 10 lat. Wszystkim zmniejszono na 12 - a ja dostałam 10. To było podobno jakieś przeoczenie, ktoś niechcący się pomylił. To jeszcze nie była rewizja procesu, ale ponieważ to tak topniało i nasza koleżanka, która kierowniczką była tej pracowni przeszła na wolność a mnie zgłosiła na swoją następczynię.

Zawołał mnie naczelnik i powiedział, że mam objąć jej stanowisko. To nie była jedna pracownia, bo całość była podzielona na oddziały: był przygotowawczy, wykańczalnia itd. Nie chciałam się na to zgodzić ale specjalnie nie miałam wiele do powiedzenia. I zostałam kierowniczką pracowni. I to były najgorsze momenty dla mnie w więzieniu - gorsze niż izolatka

ponieważ od czasu do czasu trzeba było redukować stan naszej
pracowni - i to było najbardziej przykre. Praca musiała być
wykonana a nie wszystkie koleżanki potrafiły to wykonać do-
rze, a jednocześnie nie każda dostawała paczki.

Następuje słabo czytelna rozmowa p. Lidii z kimś z oddziału
o pogłosce wg której Jasienica wsypał Łupaszkę, P. Lidia po-
wtarza, że Jasienica nie wiedział o miejscu ich pobytu.

Ten pan mówi o zasłyszanych pogłoskach, P. Lidia o rzeczach,
których była świadkiem. O propozycjach przerzutu za granicę,
o rozkazie przyjazdu, który Łupaszko otrzymał i odmówił jego
wykonania.